

Do poniższego tekstu zostały wprowadzone oznaczenia »...« (nie występujące w oryginale) w celu wskazania na pojęcia, które będą przedmiotem komentarza na wykładzie, a samodzielne znalezienie w literaturze i opracowanie na piśmie ich definicji będzie stanowić pracę zaliczeniową.

WITOLD GADOMSKI

## **Z rewolucjonisty liberał**

*Gazeta Wyborcza, Niedziela 25 września 2005*

Luiz da Silva "Lula", lewicowy prezydent Brazylii, miał do wyboru: zaprzestać spłaty długów i zerwać stosunki z »Międzynarodowym Funduszem Walutowym«, aby wprowadzać w życie obiecane »lewicowe utopie«, lub kontynuować wcześniejszą politykę. Po trzech latach jego rządów widać jednak, że dawni rewolucjoniści prowadzą politykę, która najbardziej podoba się finansistom.

Im bardziej skrajna jest partia, im bardziej »populistyczna«, tym więcej obiecuje przed wyborami. W stabilnych demokracjach wyborcy na ogół nie dają się na to nabrać, choć i tam rośnie poparcie dla populistów. W krajach, mających krótką historię »demokracji« i niestabilną gospodarkę, populiści czasami dochodzą do władzy dzięki »przedwyborczej retoryce«, wzbudzając tym entuzjazm jednych i przerażenie innych.

Entuzjazm szybko mija, gdy okazuje się, że obietnice są niemożliwe do zrealizowania. Populistyczny przywódca ma wówczas dwa wyjścia: próbować zrealizować swój program wyborczy, prowadząc kraj do chaosu, lub też uznać istnienie ograniczeń i szybko wycofać się z obietnic. Prezydent Brazylii Luiz Inacio "Lula" da Silva, który w październiku 2002 roku wygrał wybory prezydenckie, wybrał tę drugą strategię. Choć Brazylia jest krajem większym od Polski, bardziej liczącym się w światowej gospodarce i położonym na innej półkuli, to najnowsza historia obu krajów jest zadziwiająco zbieżna.

### **Rynki pełne niepokoju**

Luiz da Silva, na którego Brazylijczycy mówią po prostu "Lula", porównywany jest często do Lecha Wałęsy. Urodził się w biednej rodzinie, pracować zaczął już w dzieciństwie, potem został robotnikiem w stalowni, działaczem związkowym, w końcu politykiem - założycielem i przewodniczącym lewicowej Partii Pracy. W 2002 r. w wyborach prezydenckich startował już po raz czwarty, jednak wcześniej nie dawano mu najmniejszych szans na wygraną. Tym razem było inaczej.

Już na wiele tygodni przed wyborami sondaże wskazywały, że ma wyraźną przewagę nad José Serra, kandydatem popieranym przez brazylijski »establishment«. W dniu głosowania Luiz da Silva bez trudu odniósł nad nim zwycięstwo. Na "Lulę" głosowali robotnicy, niższa »klasa średnia«, ale także część brazylijskich przedsiębiorców zachęconych hasłami obrony suwerenności gospodarczej i zapowiedzią "twardych negocjacji" z międzynarodowymi instytucjami finansowymi i zagranicznymi wierzycielami.

»Rynki finansowe« przyglądały się brazylijskim wyborom z dużym niepokojem, obawiając się, że lewicowy prezydent może ogłosić zawieszenie spłaty zadłużenia. Wszyscy spodziewali się głębokich zmian polityki gospodarczej i zagranicznej. »Lewicowi intelektualiści« liczyli, że prezydent spełni swoje obietnice: przeprowadzi reformy społeczne i zerwie z polityką zgodną z »waszyngtońskim konsensusem« - czyli zaleceniami Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Finansiści mieli nadzieję, że może nie będzie tak źle. Uznali, że "Lula", choć »lewicowy demagog«, głupcem nie jest. Wie, jakie są w polityce ograniczenia.

### **Dyktatury odchodzą**

Brazylia tak jak Polska wpadła w latach 70. w »pętlę zadłużenia«. Dług zagraniczny zwiększył się z kilku miliardów dolarów w roku 1970 do przeszło 50 mld w roku 1980. Skutki dwóch »szoków naftowych« i podniesienie oprocentowania na rynkach kapitałowych na początku lat 80. były bolesne dla Brazylii, która przestała wówczas wywiązywać się ze spłaty zagranicznego zadłużenia.

Dekada lat 80. - podobnie jak w Polsce - była i dla gospodarki, i dla społeczeństwa fatalna. Jednego roku gospodarka rosła, następnego był kryzys. Średnie tempo wzrostu »PKB« w całej dekadzie wynosiło zaledwie 1,5 proc. i było niższe niż przyrost naturalny. Rządzona w Brazylii »junta wojskowa« radziła sobie z trudnymi problemami nie lepiej niż ekipa Jaruzelskiego i oddała władzę w ręce demokratycznie wybranego rządu w 1985 r.

Przez cały kontynent południowoamerykański przeszła wtedy fala przemian przypominająca »aksamitne rewolucje« w Europie Środkowej. We wszystkich krajach wojskowe junty, które nie potrafiły uporać się z »hiperinflacją« i pętlą zadłużenia, jedna po drugiej oddawały władzę. Odbywały się wybory wygrywane przez ludzi deklarujących wiarę w demokrację i »wolny rynek«. Przemiany zostały wsparte przez Stany Zjednoczone, które zaproponowały plan oddłużenia bliskich bankructwa krajów latynoskich.

Brazylia, podobnie jak Polska, wynegocjowała dogodniejsze rozłożenie spłat zagranicznych długów według schematu opracowanego przez sekretarza skarbu USA Nicolasa Brady'ego, dzięki czemu stała się na powrót krajem, do którego napływał kapitał zagraniczny. Inflacja, która w latach 1964-94 przekraczała średnio 200 proc. rocznie, spadła do kilkunastu, potem kilku procent.

### **Brazylijski Balcerowicz**

Cywilne rządy były jednak mało sprawne i skorumpowane. Głębokie reformy gospodarcze zostały podjęte dopiero w roku 1993 przez ministra finansów Fernando Henrique Cardoso. Ten "brazylijski Balcerowicz" wprowadził plan stabilizacji finansów i waluty nazwany Planem Reala. Opierał się on, tak jak i polski, na trzech filarach: »równoważeniu finansów publicznych«, twardej polityce pieniężnej, która ograniczyła emisję pieniądza, i »otwarcu gospodarki na rynki światowe«.

Odbyła się też - tak jak i kilka lat później u nas - wymiana pieniędzy. Nowa brazylijska waluta - real - jest od tego czasu raczej stabilna. Dziś 1 dolar wart jest nieco ponad 2,5 reala. Cardoso, który w roku 1994 został prezydentem i pełnił tę funkcję przez dwie kadencje - aż do 2002 roku - przeprowadził także »prywatyzację« wielu spółek i starał się utrzymywać dobre stosunki ze Stanami Zjednoczonymi i MFW.

Nie uniknął błędów - przede wszystkim w polityce budżetowej. Brazylia jest »krajem federalnym«, którego budżet jest zdecentralizowany, a pieniądze publiczne są rozdysponowywane przez rządy stanowe. Minister finansów ma trudną sytuację, gdyż wielu wydatków nie kontroluje. W latach 1995-97 »deficyt finansów publicznych«deficyt finansów publicznych przekraczał 6 proc. PKB, a w roku 1998 osiągnął 10 proc.

Rósł więc »dług publiczny«, który w roku 2001 przekroczył 53 proc. PKB, a rok później, na kilka tygodni przed wyborami, 64 proc. PKB. Ten gwałtowny wzrost długu był skutkiem spadku kursu reala. Rząd brazylijski, podobnie jak polski, zaciągał pożyczki częściowo w walutach obcych, a to oznaczał że im słabsza była waluta, tym wyższy był dług. Dziś 220 mld dol., które Brazylia jest winna zagranicy, stanowi 50-55 proc. PKB, czyli mniej więcej tyle samo co w Polsce.

Według standardów europejskich dług publiczny Brazylii nie jest szczególnie duży. Ten największy kraj Ameryki Łacińskiej spełniłby większość »kryteriów z Maastricht« koniecznych do wprowadzenia euro. Kłopot w tym, że Brazylii zdarzało się zawieszać spłatę długów i wierzyciele traktują ją jako kraj wysokiego ryzyka. A to znaczy, że za pożyczki rząd musi słono płacić.

### **Zmęczenie po sukcesach**

Polityka budżetowa nie była tak twarda, jak chciał Cardoso. Lewicowe media określały ją co prawda jako "neoliberalną", a latynoscscy nacjonaliści krytykowali za otwarcie na międzynarodowe rynki i prywatyzację, w której uczestniczyli zagraniczni inwestorzy, ale prezydent i rząd nie zdołali przeforsować wielu reform i zmusić związków zawodowych, aby te zaakceptowały niższe płace dla urzędników oraz niższe zasiłki. Deficyt budżetowy był pokrywany drożącymi kredytami i doprowadziło to Brazylię w roku 1999 na skraj załamania finansowego.

Koniec lat 90. to w ogóle był trudny czas dla »rynków wschodzących«, do których zaliczana jest i Brazylia, i Polska. »Kryzys walutowy« dotknął Republikę Czeską, kraje Azji Wschodniej, Rosję i kilka państw Ameryki Łacińskiej. Na początku stycznia 1999 roku real został uwolniony i natychmiast stracił kilka procent w stosunku do dolara. Parlament nie zgodził się na cięcia wydatków zaproponowane przez Cardoso, a jeden z większych stanów Minas Gerais ogłosił niewypłacalność. Brazylii udało się wówczas wyjść obronną ręką dzięki przeszło 40-miliardowej pomocy otrzymanej od Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Gospodarka zwolniła, ale uniknięto głębokiego kryzysu. Tyle że trzeba było płacić coraz większe odsetki od zaciąganych pożyczek.

Mimo wszystko okres rządów Cardoso był jednym z najlepszych we współczesnej historii Brazylii. Opanowana została hiperinflacja, a Brazylijczycy mogli się cieszyć względnie silną walutą. Wzrost gospodarczy przyspieszył do 2,7 proc. rocznie, przyrost naturalny spadł i społeczeństwo zaczęło się powoli bogacić. Napływał kapitał zagraniczny, powstawały nowoczesne fabryki, kwitł przemysł lotniczy, samochodowy, elektroniczny. Poprawiały się też wskaźniki obrazujące jakość życia: o kilka lat wzrosła oczekiwana długość życia, odsetek dzieci chodzących do szkoły wzrósł z 90 do 97 proc., a liczba ludzi żyjących poniżej granicy ubóstwa spadła z 20 do 15 proc.

### Emerytury dla wybranych

Różnice dochodów są w Brazylii większe niż w Polsce. Według danych Banku Światowego najbiedniejsze 20 proc. społeczeństwa otrzymuje łącznie tylko 2,2 proc. dochodów, a najbogatsze 20 proc. - aż 64,1 proc. W Polsce wartości te wyglądają następująco: 7,8 proc. i 39,7 proc.

W Brazylii, tak jak w Polsce, rozbudowany jest system zabezpieczeń społecznych, tyle że jest jeszcze bardziej niż u nas kosztowny, nieefektywny, a w dodatku niesprawiedliwy. Na płace, zasiłki i transfery socjalne idzie prawie jedna czwarta budżetu. Bardzo silne związki zawodowe, do których należy 20-30 proc. pracowników, potrafią wywalczyć przywileje pracownicze - nie mniej hojne niż w Polsce - w wielkich zakładach przemysłowych. Ale większość zatrudnionych pracuje w małych firmach, a spora część w szarej strefie. Ci na przywileje liczyć nie mogą.

Brazylijski system emerytalny jest bardzo hojny dla pracowników państwowych i bardzo skromny dla pracujących w sektorze prywatnym, szczególnie w małych firmach. 65 proc. pracowników tego sektora ma zagwarantowaną jedynie minimalną emeryturę - 240 reali (około 120 USD). A 4 mln nie ma w ogóle praw emerytalnych.

Natomiast pracownicy państwowi jeszcze do niedawna nabywali prawa emerytalne w wielu 48 lat (kobiety) lub 53 lat (mężczyźni). Przysługiwała im też emerytura w wysokości ostatniej płacy. W efekcie emerytury pochłaniały ponad 10 proc. »dochodu narodowego«, przy czym połowa wydatków była kierowana do byłych pracowników państwowych, którzy stanowili zaledwie 15 proc. emerytów.

Cardoso starał się ten absurdalny system zreformować, co wywoływało wściekły opór urzędników państwowych. W Brazylii jak w wielu innych krajach latynoskich (a także w Polsce) pracownicy »sektora budżetowego« są przyzwyczajeni do gwarancji zatrudnienia, a potem przywilejów emerytalnych. W październiku 1998 roku rządowi udało się wreszcie wprowadzić w systemie emerytalnym kilka zmian. Ograniczona została wysokość specjalnych emerytur dla wyższych urzędników, wydłużony wiek przechodzenia na emeryturę, a jej wysokość uzależniono od wysługi lat. Więcej zrobić się nie dało.

Cardoso wprawdzie w roku 1998 po raz drugi wygrał wybory prezydenckie, ale jego popularność spadała. Kandydat, któremu udzielił poparcia w roku 2002, wyraźnie przegrał z populistą "Lulą", który na ośmioletnich rządach Cardoso nie zostawił suchej nitki. W kampanii wyborczej twierdził, że zerwie z regułami polityki gospodarczej zalecanymi przez MFW, Bank Światowy i rząd USA. Zagranicznych wierzycieli straszył zaś wstrzymaniem spłaty zadłużenia.

### Podwójny nelson

Po wygranych wyborach w 2002 roku nowy prezydent "Lula" znalazł się w podwójnym uścisku. Z jednej strony wyborcy oczekiwali, że szybko spełni wyborcze obietnice bez oglądania się na międzynarodowe zobowiązania Brazylii, prawa własności i rządzące ekonomią reguły, z drugiej strony rynki finansowe z trudem godziły się z myślą, że kraj, któremu udzieliły wielomiliardowych pożyczek, będzie rządzony przez populistę.

Najważniejszym wskaźnikiem świadczącym o zaufaniu »rynków finansowych« jest koszt, jaki rząd musi płacić od zaciąganych kredytów. Jego miernikiem jest różnica między oprocentowaniem »obligacji« amerykańskich i obligacji danego kraju. Na początku 2002 roku Brazylia musiała płacić 8 pkt proc. ponad to, co płacił rząd amerykański. Im bardziej prawdopodobne stawało się zwycięstwo "Luli", tym bardziej rosła ta różnica.

W momencie zwycięstwa robotniczego lidera - w październiku - Brazylia musiała płacić od 23 pkt wyższe odsetki od zaciąganych na rynkach finansowych pożyczek niż rząd amerykański. Gwałtownie spadał też kurs waluty brazylijskiej. W kwietniu 2002 roku za dolara płacono 2,4 reala, w październiku, tuż przed wyborami, ponad 4.

Rosnące oprocentowanie pożyczek i spadek wartości reala sprawiały, że rząd musiał wydawać coraz więcej z budżetu, by spłacić nominowany w obcych walutach dług. Jego obsługa kosztowała przeszło 8 proc. PKB,

czyli około 40 mld dol. To ogromne pieniądze - za połowę tej sumy można by sfinansować zasiłki socjalne dla 5 mln najuboższych rodzin, podnosząc ich poziom dochodów do średniej krajowej! Czyż to nie wielka pokusa dla polityka, który w swym programie wyborczym podkreślał, że najważniejszą sprawą jest poprawa położenia najuboższych?

### **Splata pożyczki pożera pożyczkę**

Jeszcze przed wyborami MFW przyznał Brazylii pożyczkę w wysokości 30 mld dol., ale pieniądze te miały wpłynąć na konto Banku Centralnego Brazylii, dopiero gdy Fundusz przekona się, że rząd wywiązuje się z przyjętych zobowiązań. Bez tej pomocy Brazylia nie byłaby w stanie... spłacić poprzednich kredytów zaciąganych w instytucjach międzynarodowych i na rynkach kapitałowych.

Dla »antyglobalistów« to przykład narzucania krajom dyktatu MFW. Ale to nie Fundusz prosił Brazylię o pomoc, tylko odwrotnie. A decydenci z MFW mają proste warunki takiej pomocy: chcecie wsparcia, zachowujcie się zgodnie z naszymi regułami. A reguły są jasne: utrzymujcie niską inflację, obniżcie »deficyt budżetowy«, znieście ograniczenia w przepływie kapitału i zapomnijcie o szaleństwach w wydatkach publicznych.

"Lula" miał do wyboru: zmienić dotychczasową politykę gospodarczą, odrzucić zasady "konsensusu waszyngtońskiego", zaprzestać spłaty długu i zerwać stosunki z MFW lub też kontynuować politykę poprzednika, starając się ją poprawić tam, gdzie to możliwe. Bez wahania wybrał drugą strategię. Miał nadzieję sprostać oczekiwaniom obu stron. Zarazem uspokoić rynki, jak i spełnić dane wyborcom obietnice.

### **Rewolucjonista w garniturze**

Już w ostatnich tygodniach przed wyborami "Lula" zaczął tonować swoje wypowiedzi. Robotniczy lider szybko zmieniał swój wizerunek. Włożył dobrze skrojony garnitur, skorzystał z pomocy stylistów przy wyborze krawatów. Zaczął mówić ostrożniej o programie reform. Wciąż podkreślał, że jego celem jest nakarmienie kilku milionów głodnych Brazylijczyków, ale zapewniał, że zna realia finansowe.

Po wyborach wiceprezydentem został José Alencar, bogaty przemysłowiec, właściciel fabryki tekstylnej w Minas Gerais, który miał zapewnić lewicowemu politykowi poparcie klasy średniej. W rządzie "Luli" nie zabrakło jednak czystej wody »lewaków«. Odpowiedzialnym za reformę rolną został Miguel Rossetto, »trockista« z lewego skrzydła Partii Robotniczej oskarżany o związki z kolumbijskimi partyzantami. Ministrem górnictwa i energii Dilma Rousseff, jedna z liderów zbrojnej organizacji Palmares Armed Revolutionary Vanguard (Var-Palmares).

Podobne korzenie miało kilku innych członków ekipy prezydenta. José Dirceu, który do maja 2005 roku pełnił funkcję szefa gabinetu prezydenta, był radykalnym przywódcą studenckim w Sao Paulo. Aresztowany w 1968 roku przez wojskowy reżim został zwolniony w 1969 w zamian za porwanego ambasadora USA w Brazylii. Szefem Partii Pracy został José Genoino, dawny partyzant z dżungli. Ministrem finansów - Antonio Palocci, dawny trockista, członek organizacji Wolność i Walka. Ministrem sportu zaś dawny »komunista« Agnelo Queiroz.

I to ci dawni lewacy partyzanci stali się wykonawcami polityki prezydenta uzgadnianej z MFW, Bankiem Światowym i administracją waszyngtońską.

### **Trudno pomóc najuboższym**

Wizytówką rządu Luli stał się program społeczny nazwany "Zero głodu". Utworzono specjalne ministerstwo do jego wdrażania, na którego czele stanął José Graziano, wieloletni przyjaciel prezydenta. Lula twierdził, że każdego wieczoru 46 mln Brazylijczyków kładzie się spać bez kolacji. Przyrzekł im zasiłek w wysokości 20 dol. miesięcznie aż do roku 2015. Miał nadzieję, że w ten sposób nie tylko zlikwiduje głód, ale wywoła pozytywny efekt w gospodarce - wzrośnie popyt na żywność i produkcja, powstaną nowe miejsca pracy.

Dwa dodatkowe programy nazwano "Zero pragnienia" oraz "Światło dla wszystkich". Ich celem było zaopatrzenie w zdrową wodę i prąd elektryczny wszystkich mieszkań. Szybko się okazało, że łatwiej jest kreślić programy na papierze, niż je wdrażać.

Już sama inauguracja programu "Zero głodu" była nieszczęśliwa. W ostatniej chwili został odwołany wyjazd prezydenta na rozpoczęcie programu w Guaribas, najbiedniejszym mieście w Brazylii. Zaś już pięć miesięcy po rozpoczęciu urzędowania "Luli" budżet na program "Zero głodu" został obcięty o jedną trzecią, a obiecane 20 dol. skurczyło się do 10. Rząd tłumaczył to koniecznością spłaty zadłużenia. Budżet brazylijski jest bowiem, podobnie jak nasz, "sztywny". Rząd może dowolnie wydawać mniej niż jedną trzecią pieniędzy. Dwie trzecie idą

na spłatę długu, transfery do »rządów stanowych« i inne zagwarantowane ustawowo cele. Na programy społeczne planowane przez prezydenta pozostało niewiele.

Realizacją programu zajęli się wyłącznie ludzie związani z partią prezydencką, co sprawiło, że zabrakło demokratycznej kontroli nad nim. Efekty można było przewidzieć. Część pieniędzy zamiast do rodzin najuboższych trafiła do kieszeni polityków i urzędników.

### Trudno pomóc wykluczonym

Okazało się, że lewicowy rząd, wbrew zapowiedziom, wcale nie ma recepty na skuteczną walkę z »korupcją«. 14 maja 2005 roku magazyn informacyjny "Veja" wyemitował taśmy wideo przedstawiające polityków przyjmujących łapówki. O korupcję oskarżony został najbliższy współpracownik Luli José Dirceu dotychczas będący szarą eminencją lewicowego rządu. O dziwo, odejście w czerwcu tego dawnego rewolucjonisty zaniepokoiło rynki finansowe, które obawiały się, że podkopanie pozycji prezydenta może go zachęcić do bardziej radykalnych "prosocjalnych" reform.

W Brazylii dużym problemem są te też ludzie społecznie wykluczeni, często niepiśmienni, nieufający państwowym urzędnikom. Jak w takiej sytuacji biurokrata ma odróżnić rodzinę, której należy się pomoc, od tej, która już przekracza minimalny poziom dochodów? W sumie więc pieniądze faktycznie trafiające do głodnych były znacznie mniejsze, niż przewidziano w programie. Co więcej - w połowie 2004 roku Instytut Geografii i Statystyki opublikował raport, z którego wynikało, że 40 proc. Brazylijczyków cierpi na nadwagę, a jedynie 4 proc. (czyli 7,2 mln, a nie jak utrzymywali doradcy prezydenta 46 mln) jest niedożywionych.

Prezydentowi udało się jednak przeprowadzić kilka istotnych reform, choć niekoniecznie były one zgodne z tym, czego oczekiwali wyborcy. Zreformowane zostały podatki – zmniejszono liczbę stawek »VAT« i zlikwidowano wiele ulg. Ograniczono wysokość urzędniczych emerytur i podniesiono wysokość składek emerytalnych dla tej grupy.

Zmienione zostało też prawo upadłościowe. W nowym większą ochronę uzyskały banki, które w razie bankructwa firmy w pierwszej kolejności otrzymują zwrot swych należności. Pogorszyła się tym samym sytuacja pracowników, którzy zostali przesunięci do tyłu kolejki oczekujących na zwrot zaległych wypłat. Rząd ma nadzieję, że to zachęci banki do udzielania kredytów na nowe inwestycje, a tym samym przyczyni się do zmniejszenia przekraczającego 10 proc. bezrobocia.

### Nagroda za dobre wyniki

Urzednicy MFW i finansisci są coraz bardziej zadowoleni z polityki gospodarczej prowadzonej przez byłych brazylijskich rewolucjonistów. Rządowi udało się wygospodarować w budżecie "nadwyżkę pierwotną", to jest nadwyżkę bieżących dochodów nad wydatkami, bez uwzględniania kosztów obsługi długu. Nadwyżka ta wyniosła 4,25 proc. PKB w roku 2003 i 4,7 proc. w roku następnym. Było to więcej, niż zakładały uzgodnienia z MFW. Osiągnięcie nadwyżki było skutkiem szybkiego wzrostu dochodów (dzięki reformom podatkowym) oraz zahamowania wzrostu wydatków budżetowych.

"Nadwyżka pierwotna" pozwala na »obsługę długu« i jego stopniowe obniżanie. Brazylia została za to nagrodzona przez rynki finansowe, które żądają coraz niższych odsetek od pożyczek dla rządu. Dziś są to zaledwie 3 pkt proc. ponad obligacje amerykańskie. To ogromna ulga, której zapewne nie doceniają przeciętni obywatele, ale która jest warta miliardy dolarów.

Brazylia, podobnie jak Polska i większość krajów zaliczanych do rynków wschodzących, ma za sobą długą historię walki z inflacją. Ceny silnie reagują na zmianę kursu reala, więc bank centralny utrzymuje stopy procentowe na wysokim poziomie. Podstawowa stopa w pierwszych miesiącach rządów Luli przekroczyła 25 proc. (przy inflacji około 10 proc.), a dziś wynosi 20 proc. Walka z inflacją była jednym z priorytetów polityki gospodarczej lewicowego prezydenta, który zgodnie współpracował z szefem banku centralnego.

W pewnym momencie, aby pokonać inflację, stopa procentowa dla kredytów konsumpcyjnych wzrosła aż do 74 proc.! Przeciwno temu najbardziej energicznie protestował... centroprawicowy wiceprezydent José Alencar, który podkreślał, że powoduje to wyhamowanie gospodarczej koniunktury. Faktycznie, w roku 2003 wzrost PKB był blisko zera. Ale bez wysokich stóp procentowych real traciłby na wartości wobec walut światowych, a tym samym rosłyby koszty obsługi zadłużenia. Okazuje się więc, że pole manewru jest bardzo wąskie: albo wysokie ciążące gospodarce stopy, albo niebotyczne koszty spłaty długu.

Brazylia utrzymuje nadwyżkę w wymianie handlowej z zagranicą, która w ubiegłym roku wyniosła 34 mld dol. Finansiści chwalać też rząd za to, że nie dopuścił do wzrostu kosztów pracy. Przeciwnie - realne płace są dziś o blisko 10 proc. niższe niż w momencie inauguracji rządów lewicowego prezydenta. Po trzech latach "lewicowej polityki" okazało się, że rozpiętość w dochodach nie tylko się nie zmniejszyła, ale wzrosła.

### **Poluzowania nie będzie**

Dla lewicy efekty polityki "Luli" są rozczarowujące. Nie zostały zrealizowane prawie żadne cele społeczne. Gospodarka wprawdzie nabrała rozpędu, ale wzrost nie przekłada się na poprawę życia, zwłaszcza warstw najuboższych.

Ekspertki przewidują, że do końca kadencji prezydenta w polityce i gospodarce Brazylii niewiele się zmieni. Ekonomisci Amerykanin Werner Baer i Brytyjczyk Edmund Amann w opracowaniu "Ekonomiczna ortodoksja versus rozwój społeczny" piszą: "Eksperyment brazylijski pokazuje, że »makroekonomiczna stabilizacja« i »zmiany socjo-ekonomiczne« są trudne do pogodzenia. Rozwiązanie polegające na rozłożeniu akcentów: najpierw stabilność, potem zmiany, w przypadku Brazylii nie wróży sukcesów. Konieczne są zmiany strukturalne, a te są możliwe dopiero w długim okresie".

Skutkiem tego w najbliższych latach nie ma mowy o rozluźnieniu wydatków budżetowych, wyraźnej obniżce stóp procentowych, wzroście realnych wynagrodzeń, włączeniu do życia społecznego ludzi wykluczonych. Każda bardziej radykalna zmiana polityki gospodarczej i społecznej napotka na bariery: ze strony rynków finansowych, inwestorów, którzy w globalnej gospodarce szukają dla siebie najlepszych warunków, ze strony administracji, która była, jest i będzie podatna na korupcję.

### **Utopia innej drogi**

Czy możliwe było inne rozwiązanie niż to, na które zdecydował się "Lula"? Oznaczałoby zawieszenie spłaty długu, wstrzymanie kredytów i inwestycji zagranicznych i poważne pogorszenie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Przykład Wenezueli, która zdecydowała się na radykalne odrzucenie zasad "waszyngtońskiego konsensusu", nie jest zachęcający.

Kraj ten, rządzony od 1999 roku przez populistę Hugo Chaveza, zanotował głęboki spadek gospodarczy w latach 2002-03, a odczuwane w ostatnich latach ożywienie zawdzięcza tylko wyższe cen ropy naftowej. Brazylia zaś zasobów ropy nie posiada. Przeciwnie, jest wielkim importerem energii, a koszty importu zależą od siły krajowej waluty. Kraj jest zbyt wielki, by mógł liczyć na znaczącą pomoc z zewnątrz. Zresztą, kto chciałby dziś pomagać lewicowym reżimom? Kuba, Korea Północna?

Pozostaje jedno: kontynuować dotychczasową politykę, czyli stopniowo zmniejszać ciężar zadłużenia, »modernizować« kraj, poprawiać edukację, walczyć z przestępczością i korupcją, prywatyzować, przyciągać zagraniczny kapitał i mobilizować kapitał krajowy. A przede wszystkim uzbroić się w cierpliwość, bo społeczeństwo nieprędko odczuje pozytywne efekty odpowiedzialnej polityki. Efekty polityki nieodpowiedzialnej odczułoby szybciej i boleśniej.